№ 8 Warszawa, dnia (13) 25 Lutego 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu kop. 10.
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25
półrocznie . „ 2.50
rocznie . . . 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Echo starej Sagi.

(Dokończenie).

W kraju słońca.

Wilków drapieżnych stado wdarło się w winnice i gaje oliwne. Człowiek północy lekką stopą przebiegał lasy pomarańczowe, góry bluszczem i różami spowite. Czasem z cyprysów cienia wyjrzała nań przecudna twarz marmurowego boga, wystrzelił w górę białej kolumny szczątek, czasem ze złotego krzyża padło na duszę barbarzyńca dziwne, smutne i przenikliwe wejrzenie.

Wybrzeża były puste, bezludne. Mieszkańcy na dźwięk normandzkiego rogu rzucali chaty swoje, i kryli się w głębi kraju za mury miast warownych. Normand chciwszy krwi, niż łupu, szalał z niecierpliwości. Gorące promienie słońca paliły ciała nawykłe do chłodu, krew wprawiały w żywszy wir.

Wonie południowych krain jak wino upajały zmysły barbarzyńców. Więc rozdymały się nozdrza, płonęły oczy, muskuły naprężały do czynu, nerw każdy wołał: boju!

Boju potrzeba było synom północy.

Więc darli się w głąb kraju po zgliszczach spalonych siół, po gruzach splądrowanych kościołów. Szli, jak idzie burza.

Lud tchórzliwy, słaby, ustępował przed nimi. Kto uciec nie zdołał, padał pod krótkim mieczem Normanda. Zapach krwi zaczynał nareszcie mieszać się ze słodką wonią pomarańczowego kwiecia, fiołków i róż. Gorączka boju ogarniała wojowników.

Przez otwarte niebacznie bramy miasta wdarli się niespodziewanie ze wschodem zorzy i skąpali w potokach krwi, oczy blasków spragnione nasycili widokiem bogactw, złota i barw.

Ale to nie był bój. Mężowie południa marli, jak niewiasty, w ucieczce, nie stawiając oporu.

Więc przy biesiadzie zasiadłszy, i słodkim płynem winnej jagody wznosząc puhar na cześć Odyna, widzieli Wikingi, że żaden z pośród nich nie ubył, że żadnego cień z kałuży krwi własnej i wroga nie powstał, i nie pospieszył do Walhali jasnych bram.

Czemuż więc na śmierć wołały ich zbrojne dziewice puklerza?

Po uczcie sen zdjął wojowników. Cichym szumem kołysał ich gaj oliwny, powiew łagodny, miękki, wonny muskał uznojone czoła.

Haralda dłonie silnym męskim uściskiem ujęła we śnie walkyrya, ramionami ogarnęła postać jego, i niosła przed oblicze Odyna.

Nie walkyryi był to uścisk.

W cieniach nocy, jak gady przypełzli ludzie południa. Nad każdym z pogrążonych w śnie kamiennym mężów pochyliło się kilka drżących z bojaźni postaci, i odebrawszy mu miecz i tarczę, na ręce jego i nogi nałożyło żelazne okowy. Wilków złapano w żelaza.

Rankiem w całym kraju zahuczały dzwony na radość oliwnym gajom, Wikingom na śmierć.

W ogrodach donny Katarzyny, o zachodzie słońca tłum zebrał się mnogi, by strasznych królów morza oglądać. Wywiedziono ich z lochów, i prowadzono na łańcuchach przed tron księżnej. Hardo, wesoło, szli mężowie północy, z pogardą patrząc na znikczemniały tłum, a gdy stanęli przed donny Katarzyny obliczem, powitali ją okrzykiem, od którego zadrżały ukryte w zwojach bluszczu marmurowe szczątki posągów, a ludziom krew ścięła się w żyłach, bo zdało im się, że te lwy ryczące za chwilę zerwą kajdany. Donna Katarzyna siedziała niewzruszona, ponury płomień palił się w jej czarnej źrenicy. Już podniosła rękę, by skinąć na kata, który z gołym mieczem stał obok jej tronu, gdy nagle spojrzenie jej padło na Haralda. Jasnowłosy olbrzym tuż przy niej, z uśmiechem dziecka patrzył na błyszczące żelazo mistrza Tolomeo.

Łuna przebiegła po obliczu księżnej, dreszcz zimny przeszedł ją od stóp do głów. Siłą płomiennego spojrzenia zmusiła go, by zwrócił na nią wzrok. Oczy Wikinga miały zimny, stalowy blask. Ten chłód ją podrażnił — południowa krew zawrzała burzą!

„Śmierć na jutro odłożyć“—szepnęła, i Normandów wyprowadzono, pomimo, że lud widoku krwi nieprzyjacielskiej chciwy, sarkał i burzył się.

Słodki, nigdy nie słyszany dźwięk luteń zbudził w nocy Haralda. Loch jego zalewało jakieś nikłe, błękitnawe światełko. Młody wojownik zapytywał już siebie, czy Walhali słyszy pieśni, gdy uczuł, że szyję jego obejmuje pieściwie, miękkie, ciepłe ramię, że do piersi jego ciśnie się rozkoszna postać kobiety.

Przy słabem światełku poznał dumną twarz, gorejące ogniem oczy i purpurowe usta donny Katarzyny.

Okowy nie ciążyły już na rękach jego i nogach, więc całą siłą wolnego ramienia odepchnął ją precz od siebie. Stanęła niepewna, jakby nieprzepartym urokiem tej młodości, silnej nęcona, wyciągnęła ręce ku niemu. „Dam ci życie, tron, miłość“—szeptały piękne jej usta śpiewną mową południa, a lutnie grały wciąż pieśń miękką, odurzającą, jak czar. Haraldowi zaćmiło się w oczach. Tam na północy on widział kiedyś zbrojnych dziewic hufce powietrzne, tam czeka nań, w krainie śmierci walkyrya jego. On śmierci chce, więc po raz drugi odtrąca od siebie miękkie, białe ramiona i usta szukające ust jego. Śmierci!

Lutnie ucichły, zagasły światła.

Nazajutrz nienapróżno mistrz Tolomeo ostrzył długi swój miecz. Wikingi idą na śmierć. Harald—pierwszy. Stąpają z taką

dumą i powagą, jaka przystoi tym, którzy za chwilę u stołu Odyna zasiądą. Harald stanął przed obliczem dumnej pani wesoły, śmiały, piękny — skinęła, kat zbliżył się ku niemu. On potrząsnął złotych włosów grzywą, w tył odchylił głowę i piękną szyję młodzieńczą pod miecz kata nadstawił. Cios był mistrzowski. Strumień krwi młodej trysnął w górę, i opadł kroplami na białą szatę donny Katarzyny. Głowa Haralda stoczyła się do jej stóp.

I tak samo umierali inni mężowie Skandynawii, ale ona patrzyła tylko na koralowy strumień krwi Haralda.

H. C.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Gdy zwierzała się ze swych obaw Popiołkowi, student wyrzucał przed siebie to prawą nogę, to lewą, co zwykle było u niego oznaką silnie pracującej myśli. Kilkakrotnie chciał Wandzie przerwać i z uwagą jakąś wystąpić; zawsze jednak namysł powstrzymywał mu słowa na ustach.

— Gdyby panna Wandzia—rzekł wreszcie—nie była panną Wandzią, ale Maszą lub Sonią, której się mówi „wy“ i traktuje ją jak koleżankę, rzecz byłaby ze wszystkiem prosta.

Wanda nadstawiła uszu.

— Jak to brat rozumiesz?—z zajęciem spytała.—Bardzo jestem ciekawa.

Student cisnął w kąt niedopalonego papierosa, jakby z nim razem odrzucał skrupuły.

— Gdybym powiedział: wyjdź siostra za mąż, pewniebym u panny Wandy durniem został. Prawda, co?

— Nie — odrzekła, nie pojmując do czego to zmierza. Alebym pewnie pomyślała, że brat albo żartujesz, albo...

— Albo gadasz od rzeczy. Nie kijem go, tylko pałką. Ja też wcale na sztych wystawiać się nie myślę. Ale pozwolę sobie powiedzieć, że dla panny Wandzi byłoby dobrze być tytularną mężatką.

— Nie rozumiem o czem brat mówisz.

— Są tytularni radcy, tytularne członki rozmaitych akademii — mogą być tytularne żony i tytularni mężowie. Pojmuje mnie panna Wandzia?

— Nie, nie pojmuję.

— Boże ty mój! To przecie proste, jak dwa plus dwa cztery. Kto jest „tytularny“ ma tytuł i na tem koniec. Tytularny radca nie potrzebuje radzić, tytularny akademik — zasiadać w akademii, tytularna mężatka...

— Nie potrzebuje mieć męża?

— Nie to! Ona go ma, ale także tytularnego.

— Prawisz brat nie wiedzieć co — rzuciła Wanda z pewnem zniecierpliwieniem.

Popiołek zamilkł i zaczął brodę targać w zakłopotaniu.

W tej chwili weszła Brzeska. Wanda za ręce ją chwyciła, posadziła przy sobie i opowiedziała jakiemi zagadkami męczy ją Popiołek.

Opowiadając, od śmiechu wstrzymać się nie mogła.

Ale Brzeska nie śmiała się.

— Jeśli się nie mylę — rzekła poważnie do studenta—miałeś pan na myśli *mariage fictif?*

Rozpłomieniła się twarz Popiołka.

— Otóż to! — zawołał. — Chcesz, żeby cię Polka zrozumiała, po francuzku do niej gadaj! Tak to i jest: *mariage fictif.. fictif mariage...* Pięknie powiedziane i mądrze powiedziane, bo—po francuzku.

— Rzecz ta—objaśniała Brzeska—za moich czasów bardzo była w użyciu.

Wanda silniej ręce jej ścisnęła.

— Niechże mi kochana pani raz nareszcie powie wyraźnie, co to jest takiego?

— Rodzaj stowarzyszenia, wywołanego potrzebą, i które oddało już niemało usług samotnym studentkom i studentom.

— Jakiegoż to rodzaju są te usługi?

— Najpierw stowarzyszeni (bo inaczej nazywać ich nie wypada) oszczędzają na tem, że zamiast dwóch gospodarstw, prowadzą jedno. Jest to ważne, bo grosz zagranicą ma wartość rubla w ojczyźnie. Następnie, młoda osoba, mająca przy sobie towarzysza, który dla świata nazywa się jej mężem, jest zabezpieczona od wszelkich przykrości i niebezpieczeństw, zagrażających kobietom samotnym. Dalej, każda studentka jest choć trochę gospodynią, a w każdym studencie tkwi choć odrobina materyału na gospodarza, gdy się zbliżą, pozwala im to oddawać sobie wzajem wiele praktycznych przysług, które na obczyźnie nabierają niezmiernej wartości. Wreszcie zawsze i wszędzie dwa, to to zawsze więcej, niż jedność.

Wanda słuchała z uwagą. Potem zaczęła kręcić głową w sposób przeczący.

— Nie, nie, nie—rzekła—w tem niema żadnego sensu. Pomimo wszystko, co pan mówi, jest to niedorzeczne... i nieprzyzwoite — dodała po namyśle.

Na tem rozmowa się urwała.

Popiołek przez cały dzień do przedmiotu tego nie wracał. Mówił tylko o wyjeździe swym, o kolegach, do których tęsknił, i o „frantach warszawiaczkach,“ u których — jak twierdził—„serce na ręku, ale ręka zawsze w kieszeni.“

— Przy herbacie wieczornej, Brzeska rzekła niespodzianie:

— Kowalewska bardzo sobie chwaliła swój *mariage fictif...*

Wanda, zaczytana we „Wszechświecie,“ szybko podniosła głowę.

— O której Kowalewskiej pani mówi?—spytała żywo.—O Zofii?

— Tak. O tej, co dziś zajmuje katedrę uniwersytecką w Sztokholmie.

Wandzie wystąpił na twarz rumieniec.

— Ach! pani ją znała! — szepnęła stłumionym od wzruszenia głosem.

— Bawiła przejazdem w Genewie. Rozmawiałyśmy ze sobą na zebraniu studenckiem. Był z nią i mąż jej Kowalewski.

— Myślałam, że nosi nazwisko panieńskie...

— Cóż znowu! Panna Zofia Krukowska, córka generała, wyjeżdżając na studya zagranicę, zawarła nominalne małżeństwo ze studentem Kowalewskim. Później, związek ten stał się małżeństwem rzeczywistem.

— Cóż na to... opinja?

— Schyliła głowę przed geniuszem naukowym młodej emancypantki.

— A rodzice?

— Musieli *w końcu* pogodzić się z koniecznością, i przycisnąć do serca tak córkę, jak zięcia.

Wszedł Brzeski, przynosząc nowiny z miasta, i zajęto się czem innem. Wanda zagłębiła się na nowo w czytaniu. Ale, po pewnym czasie, gdy rozmowa ogólna nieco przycichła, zwróciła się do Brzeskiej z półgłośnem zapytaniem:

— Coby jednak było, gdyby panna Krukowska nie uczuła ochoty zostania panią Kowalewską?

— Nic. Rozeszliby się i koniec. Na dziesięć związków tego rodzaju, osiem co najmniej miewa podobne zakończenie.

— Jakto „rozeszli się?“ — spytała panna brwi ściągając.

— Wzięli rozwód.

— Słyszałam jednak, że rozwód dostać trudno.

— Główna zasada, na której się każdy taki związek opiera, trudność ową w znacznym stopniu zmniejsza.

— I nie pociąga to za sobą żadnych następstw.

— Żadnych.

Wanda wpadła w zamyślenie. Choć rozmawiano o przedmiotach blizko ją obchodzących, gdyż o stosunku wiedzy do szczęścia osobistego, ani jednem słówkiem nie wmieszała się do rozpraw.

Popiołek, jak zwykle, dużo rozprawiał, a więcej jeszcze krzyczał, przez cały czas jednak nie spuszczał oka z kuzynki, jakby z fałdującego się jej czoła chciał bieg myśli wyczytać.

Gdy już Wanda odchodzić miała do swego pokoju, otoczyła ramieniem szyję Brzeskiej, ruchem pieszczotliwym, dość zwykłym pomiędzy młodemi kobietami.

— Choćbym nawet zgodziła się na tę... komedyę, to z kimżebym ją mogła odegrać? — zwierzyła się półgłosem profesorowej.

Niewiadomo czy zwierzenie to podsłuchał stojący tuż za kobietami Popiołek, ale kłąb dymu ustami i nozdrzami wypuszczając, z energią zawołał:

— Ot, gdyby ja tu miał Cieńskiego! — w trzy migi wszystkoby zakończył. Cieńskiego wy mnie dajcie, Cieńskiego! a o resztę już wam kłopotać się nie trzeba!..

III.

Nieduży kwadratowy pokoik z oknem balkonowem i kominkiem. Za oknem, otwierającem się do środka, żelazna galeryjka, chroniąca od wypadnięcia; na gzemsie kominka zepsuty zegar, świeca w niskim lichtarzu, pudełko z zapałkami i butelka po winie czerwonem.

Nad oknem firanka perkalowa, żółta w czerwone kwiaty, spłowiała i zmięta. Druga także sama nad małem żelaznem łóżkiem z lichą pościółką.

Pod oknem stół palisandrowy, zniszczony, odwiecznego stylu. Na stole, w wielkim nieładzie książki oprawne i nieoprawne, broszury, kajety, arkusze, ćwiartki czystego i zapisanego papieru.

W kącie, przy drzwiach, maleńka umywalka, osłoniona ręcznikiem. W pobliżu umywalki prosty, niewielki stolik z szufladą. Na stoliku maszynka benzynowa, blaszany rondelek, takiż imbryk, kilka szklanek, spodki, łyżeczki.

Na jednej ze ścian, obok zapstrzonego zwierciadełka, litografowany portret Kopernika, szpilką przypięty do papierowego obicia. Wprost tego portretu drzwi do drugiego pokoju, zamknięte i zastawione krzesłem słomą wyplatanem.

Przez szyby widać szary mur z szeregiem takich samych długich, wązkich okien, a w nich takież same żółto-czerwone spłowiałe firanki. Wyżej kawał nieba jednostajnie popielatego.

Mimo dużego okna światła w pokoju mało. Dochodzące w odbiciu. szare jest, żółtawe, chorowite. W świetle tem wszystko nabiera kształtów miękkich, rozpływających się, niepewnych.

W tym pokoiku, wśród tych sprzętów, w tem oświetleniu, przy starym stole z dziwacznie wygiętemi nogami, wśród stosu książek i papierów, siedzi — Wanda. Odsunęła zeszyt, odłożyła pióro — siedzi nieruchomo i wpatruje się bezmyślnie w popielaty kwadrat nieba.

Schudła i pożółkła. Oczy jej wydają się jeszcze większe i czarniejsze. Ubrana jest bardzo skromnie, bez najmniejszej zalotności. Głębsza, niż zwykle, zmarszczka czoło jej przecina.

Z zamyślenia zbudziło ją lekkie pukanie do drzwi. Drgnęła, i mówi głośno:

— *Entrez!*

W otwartych drzwiach zjawia się dwunastoletnia może dziewczyna, śniada, chuda, o rysach ostrych, o twarzy ruchliwej.

— *Votre déjeunez madame* — mówi głosem piskliwym.

I nie zatrzymując się, podchodzi żwawo do stoliczka, na którym stawia szklanne litrowe naczynie z mlekiem, i kładzie długi bochenek białego chleba.

Wykręciła się na pięcie, rzuciła prędko ledwie zrozumiałe pozdrowienie — i już jej niema.

Wanda ociężale podnosi się z krzesła, idzie do stolika, zapala maszynkę, wylewa do rondelka mleko i gotować je zaczyna. Gotując czyta jakąś broszurę i powtarza głośno niektóre miejsca, jakby się ich na pamięć uczyła.

Mleko zaczyna kipieć. Zadmuchuje maszynkę, podchodzi do drzwi zastawionych krzesłem i mówi:

— Czy podać wam śniadanie?

Nikt jej nie odpowiada.

Powtarza zapytanie głosem mocniejszym. Za drzwiami słychać szelest przewracanych kart, oraz łoskot, jaki sprawiają otwierane i zamykane foliały. Jednocześnie cienkim, ostrym głosem czternastoletniego wyrostka ktoś mówi:

— A dajcie, dajcie...

Wanda rozlewa mleko do dwóch szklanek, przekrawa chleb na dwie części. Umieściwszy jedną szklankę i połówkę chleba na małej tacce, niesie ją do drzwi zamkniętych i lekko puka.

Drzwi odemknięto. Wychyla się niemi uderzająco mała głowa i drobna, prawie chłopięca twarz wysokiego, szczupłego młodzieńca. Chuda ręka o długich, cienkich palcach ujmuje tackę i znika z nią razem. Zaraz też i drzwi się zamykają.

Wanda pije mleko i zagryza chlebem, nie przestając czytać i uczyć się. Skończywszy śniadanie, zbliża się raz jeszcze do drzwi z zapisaną kartką w ręce.

Po zapukaniu drzwi się otwierają, tym razem na całą szerokość. Staje w nich... ten sam chudy, nerwowy, z dziecinną twarzą a łysiejącem czołem młodzieniec, który w czytelni publicznej w Warszawie ofiarowywał Wandzie „Dykcyonarz Bijograficzny.“

Wanda podaje mu kartkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Poszukujący pracy.

Jakkolwiek konkurencya jest podobno jednem z nieuniknionych zjawisk w życiu społeczności dzisiejszych, nie można jednak powiedzieć, aby walki staczane pod jej sztandarami należały do budujących, aby uszlachetniały uczestników, a patrzącym dodawały otuchy.

Takich walk, starć i kolizyj widzimy dokoła siebie mnóstwo w rozmaitej formie. Bywają np. walki wielkich potęg pieniężnych pomiędzy sobą, w których biorą się za bary dwie siły brutalne, mniej więcej jednorodne i jednogatunkowe, i wypowiadają sobie wojnę. Zużywa na to wzajemne pożeranie się jedna i druga strona często góry całe złota i arsenał fortelów nie mających z elementarnemi zasadami etyki nic wspólnego, i ostatecznie kończy się na tem, że albo Paweł zje Gawła, albo Gaweł Pawła.

Nie o takich bynajmniej zapasach postanowiliśmy mówić w tem miejscu. Pominiemy również turniej uzdolnień wyższych na jakiemkolwiek polu, bo ten z pożeraniem wogóle żadnem cech wspólnych nie ma, nadto tem się on od innych walk wyróżnia, że cokolwiekbądź ucierpieć w nim mogą strony stające do wyścigu, ogół zyskuje zawsze, a to stanowi samo przez się korzyść, która wiele ujemnych właściwości charakteryzujących walkę, do pewnego stopnia rehabilituje.

Pozostaje nam teraz rzucić okiem na ostatnie z współzawodnictw ludzkich — ostatnie najsmutniejsze, a w wielu wypadkach odznaczające się prawdziwym tragizmem. To współzawodnictwo pracujących.

Myliłby się jednakże bardzo, ktoby ofiar takiej nędzy doszukiwać się chciał w klasie żebrzącej, między większością zapełniających przytułki noclegowe, w sferze która świeci łachmanami noszonymi na pokaz, która dla oka dopomina się o pracę, podczas gdy ta praca bardzo często na zawołanie znaleźćby się mogła. Nie o wyzyskujących profesyjnie miłosierdzie publiczne mówić zamierzyliśmy, ale o tych, dla których wobec zmory miłosierdzia, smierć sama dobrodziejstwem się wydaje.

Alboż są tacy w naszej poczciwej Warszawie, zapyta niejeden i niejedna? W tej Warszawie, tak niewyczerpanie hojnej, takiej niestrudzonej w organizowaniu balów, koncertów, rautów, went i kwest dobroczynnych—w tem mieście, które ani tańczyć, ani stroić się, ani szaleć nawet bez łezki współczucia dla cierpiących nie potrafi?

Są, zapewniamy, że są—jest ich wiele, niezmiernie wiele — jest coraz więcej! Różnego wieku, płci — starszych i młodszych, silniejszych i z nadwerężonem już zdrowiem, mężczyzn i kobiet, samotnych i obarczonych rodzinami.

Jednych przytulił już filantropijny przemysł nasz — reszta zaś tego tłumu, to wyczekujący; zapisują oni nazwiska swoje po kantorach przyobiecujących pracę wzamian za jakieś kilka zapłaconych ostatnich rubli, albo są to wyzyskiwacze szczątków protekcyi celem zdobycia kilkunastu rubli miesięcznie, wzamian za kilkanaście godzin dziennej pracy. Marne wynagrodzenie! powie każdy, ale mówią że więcej dać człowiekowi w zawodzie nie wyrobionemu, dać nie można.

Konkurencya ofiarowujących pracę jednem słowem!

Dzięki temu zaofiarowaniu nadmiernemu, widzimy w Warszawie urzędników biur prywatnych i kantorów z pensyą miesięczną piętnastu rubli, otrzymanych nareszcie po dwumiesięcznej bezpłatnej próbie.

Dzięki takiemu wyciąganiu się stu rąk po jedno stanowisko najmizerniejsze, proponuje modystka i właścicielka szwalni zapłatę robotnicy niepraktykowaną nawet przed paru dziesiątkami lat, przy owoczesnych, o tyle przecież niższych cenach wszelkich artykułów koniecznej potrzeby. Na skutek tego ścisku wołających o chleb i pracę, zjawiły się w poczciwej Warszawie pensye sklepowych, kasyerek cukiernianych i restauracyjnych, wynoszące do 10 rubli miesięcznie, wraz z dodatkiem czegoś, co tam nazywają obiadem, a to za siedzenie w miejscu, wystawionem na wszystkie zmiany powietrza przez czas od 8½ rano do 12 w nocy. A przytem wszystkiem ów training dwumiesięczny bezpłatny, za który prosta zwyczajna uczciwość nakazywałaby wynagrodzić wtedy przynajmniej, gdy kandydat albo kandydatka okazali się zdolnymi do spełniania obowiązku.

Mężczyzna wobec takich warunków zarobku jest i odporniejszym i zaradniejszym, bo jest o wiele więcej przedsiębiorczym, niż kobieta. Tę ostatnią za to uważamy w danej chwili jako bezbronną całkowicie i bezwarunkowo. Nie mogąc się powierzyć żadnemu stowarzyszeniu, któreby jej wynalazło pracę i uzyskało dla niej warunki bytu znośne i możebne, a wzamian dało pracodawcy

swoje rękojmie zbiorowe, kobieta poszukująca w Warszawie pracy, rzucona na ten bruk niegościnny, bez rodziny, stosunków i opieki, jest ofiarą w całem znaczeniu tego słowa — jest tu jej równie obco i beznadziejnie, jak gdyby się znalazła w któremkolwiek z tych wielkich zbiorowisk ludzkich zaoceanowego świata.

Niechajże wobec takiego stanu rzeczy nie dziwi się nikt wrażeniu, jakie wywiera na nas każdy nadeszły do redakcyi list, w którym czytelniczka z prowincyi zapytuje nas o warunki pracy w Warszawie, w którym żąda rad, wskazówek i objaśnień, dotyczących wyboru powołania. Komunikuje przytem większa część korespondentek, że radeby pracować samodzielnie i dlatego wybierając się do Warszawy, chcą... i t. d., i t. d.

Panie szanowne! Mamy wielkie uznanie dla ducha samodzielności waszej, oceniamy jak należy energię i gotowość do czynu, ale właśnie dla tego winniśmy wam słowo z głębi przekonania naszego pochodzące — winniśmy wam prawdę całą wzamian za ufność waszą.

Ta Warszawa przestała być wielką żywicielką, ta Warszawa z dnia na dzień staje się bardziej wymagającą, bo do niej ściąga wszystko, co potrzebuje bytu, bo zapanowała tu już prawdziwa konkurencya uzdolnień na wszelkich polach pracy ludzkiej, a setki i tysiące wyczekujących robi położenie coraz trudniejszem, obniżając także z dnia na dzień wartość tego, co jest zaofiarowanem w ilości nadmiernej. Tym artykułem nie co innego, tylko właśnie praca wasza.

Do Warszawy nie dosyć jest już dzisiaj przynosić ze sobą gotowość czynu i minimalne wymagania. Niestety roi się od tej gotowości, a obniżanie wymagań nie wiadomo na czem skończyć się może.

Do Warszawy warto przybyć po naukę, jeśli się ma przed sobą czas, a przy sobie środki materyalne wystarczające i zdrowie bez zarzutu. Zdobywszy fach, profesyę, rzemiosło i rozejrzawszy się dokoła, jeszcze będzie się musiała porachować niejedna, azali warto rozpoczynać tutaj, azali nie stokroć pożyteczniej byłoby zdobyte wiadomości fachowe zużytkować w jednem z powstających nowych środowisk wielkiego fabrycznego przemysłu. Tu jest ciasno, bardzo ciasno—coraz ciaśniej. Tu niema wielkich widoków przed pracą umiejętną, a co się tyczy chęci do pracy, gotowości i wytrwania, to nie stanowią one już dzisiaj artykułu zbytu z wszelką pewnością.

Red—

Z nauki czystej i stosowanej.

Środki dezynfekcyjne i konserwowanie produktów spożywczych. — Dlaczego ziemia pachnie? — Zuchwała wyprawa napdowietrzna.

(Dokończenie).

P. Magiora pracuje obecnie nad tem, aby otrzymać w znaczniejszych ilościach płyn, produkowany w ziemi przez *Cladothrix odorifera*, i poznać jego własności fizyczne, skład chemiczny, a co główniejsza, rolę, jaką odgrywa w stosunku do roślinności.

Z góry już można przewidzieć, że rola ta nie jest bez znaczenia.

Bakteryologia zastosowana do agronomii oddała już wielkie usługi; wiemy, że w ziemi istnieją najrozmaitsze mikroby, tak zwane bakterye azotowe, posiadające zdolność zamieniania amoniaku w kwas azotny, stanowiący pożywienie roślin; inne, jak się zdaje, umieją produkować substancye azotowe wprost z powietrza, i w ten sposób nie pozwalają gruntowi wyjałowić się.

Zapewne nauczymy się kiedyś odnosić lepsze korzyści z tych czynników przyrody, skoro je zbadamy dokładnie.

Ciekawą podróż nadpowietrzną odbył niedawno pewien Szwajcar, nazwiskiem Spelterini; postanowił on przelecieć w balonie ponad Alpami, i zamiar ten powiódł mu się znakomicie.

Balon, użyty do tego celu, nosił nazwę Vegi, a posiadał objętość aż 3,300 metrów sześciennych.

Pan Spelterini zabrał ze sobą trzech towarzyszy: geologa Heima, meteorologa Maurera i niejakiego p. Biedermanna, przybyłego umyślnie z Warszawy.

Za punkt do wzlotu aeronauci obrali sobie miejscowość Sion, położoną prawie w samym środku Alp, a dostatecznie odległą od niebezpiecznych szczytów Mont Blanc.

Kto zechce spojrzeć na mapę, dla tego zaznaczamy tutaj drogę Vegi, która leciała nad Conthey (wzniesienie balonu 2,500 metrów), jeziorem Derborence (4,100 m.), Diablerets (4,500 m.), Ormont Dessus (4,550 m.), les Rochers de Naye (5,200 m.), Reinaufens (5,000), Oron (6,300 m.), Yverdon (4,800), Les Verrieres (15,000 m.), Mauthe (6,000 m.), Besançon (4,900 m.), nad rzeką Ognon, do Chambornay (6,100 m.), i dalej; ale znalazłszy się w ostatnim z wymienionych punktów, żeglarze spostrzegli, że mapy ich nie sięgają dalej, i dlatego też nie mogli oni dłużej oryentować się, gdzie się ich balon znajdował.

Mając jeszcze duży zapas balastu, pozwalający na odbycie kawału drogi, musieli oni opuścić się niebawem na ziemię pomiędzy Dijon a Langres, przeleciawszy w 340 m. 232 kilometry. Widzimy więc, że p. Spelterini przeprawił się nietylko przez Alpy, ale i przez Jurę.

Podróż trwała niecałe 6 godzin, aeronauci siedzieli sobie najwygodniej w świecie, nie czując nawet, że się poruszają, płynęli jak obłoczek po nad otchłaniami, ostremi skałami, śnieżnymi szczytami, lodnikami, daremnie wyciągającymi ku nim swe kamienne szpony i chłodne objęcia! Czyż to nie tryumf geniuszu ludzkiego taka podróż? Najbardziej nieprzebyte przeszkody kładą się pokornie pod nogi, i wstydliwie ukrywają zasępione oblicza w zawój chmur, wobec tej potęgi wątłej ciałem, a potężnej umysłem istoty.

Smutnym jednak byłby los zuchwałych żeglarzy, gdyby wskutek jakiegokolwiek wypadku, balon ich przedwcześnie opuścił się na ziemię! Zamiast równego pola ujrzeliby się na jakim zawrotnym zboczu, na dnie przepaści, lub w pośród niezgłębionych śniegów, czekałaby ich śmierć, lub kalectwo.

Wycieczka odbyła się wszelako szczęśliwie; aeronauci robili w drodze spostrzeżenia meteorologiczne, stanowiące główny cel wyprawy, i zdejmowali ciekawe fotografie *a vol d'oiseau*, z których kilka udało się znakomicie.

Szkoda tylko, że pozwolili oni balonowi wznieść się za wysoko, bo na 2,000 metrów ponad najwynioślejsze szczyty.

O 6,300 m. ponad ziemią panowała temperatura —20° C. podróżni odczuwali początki choroby górskiej, z osłabieniem tętna i innemi przypadłościami, od których jednak bronili się, wdychając czysty tlen, umyślnie zabrany w tym celu. Środek to doskonały, pozwala on bezkarnie zapuszczać się tam, dokąd niedawno nie odważyłby się dotrzeć najzuchwalszy aeronauta. Przed dwoma laty Lwowianin Bergson wzleciał na balonie z Berlina i dosięgnął, dzięki tlenowi, przeszło 9,000 metrów wysokości.

Celem badania atmosfery wypuszczane są obecnie balony-sondy, zaopatrzone w samo zapisujące instrumenty, bez aeronauty. Takie powietrzne sondy sięgają do 14, 16, 18 i 19 tysięcy metrów, gdzie panuje niesłychane zimno (—80 stopni), i gdzie atmosfera jest tak rozrzedzoną, że żadne stworzenie żyćby w niej nie mogło.

Dzięki temu systemowi, bez narażenia życia ludzkiego, poznajemy coraz lepiej ocean powietrzny, rozpościerający się nad naszemi głowami.

Dużo nam jednak brakuje, ażebyśmy mogli powiedzieć, że zbadaliśmy go dokładnie, chociaż odkrycia nowe a niespodziewane mnożą się.

W. U.

Z niewydanych kartek

pozostałych po J. J. Rousseau.

„Zawsze żywiłem wątpliwość, azali wszystkie różnorodne talenta powinny być rozwijane. Na to potrzebaby koniecznie, aby liczba tych utalentowanych ściśle odpowiadała potrzebom społeczności w chwili danej.

„Gdyby tak przyszło naprzykład zostawiać rolnictwu tylko te indywidua, które mają w niem upodobanie — zdradzają pewne zdolności w tym kierunku, a zabierać tych, którzy okazują się niby odpowiedniejszymi do innych przeznaczeń, z pewnością rolnictwo cierpiałoby na brak sił."

„Wydaje mi się, że z talentami ludzkimi ma się rzecz zupełnie tak, jak z własnościami niektórych roślin, przeznaczonych do leczenia naszych cierpień. Przyroda dała im te własności, pomimo, że cierpienia nasze nie leżą w jej zamiarach. Są to środki ochronne, które nam stworzenie zarezerwowało na chwile niebezpieczeństw, ale do których nie należy się uciekać bez konieczności. Kiedy rzecz nie jest potrzebną, może się stać szkodliwą.

„Są rośliny trujące—są uzdolnienia zgubne.

„Narody cnotliwe a proste nie potrzebują talentów. Bytują one pomyślniej dzięki swo-

jej skromności potrzeb, niż inne przy pomocy swojego przemysłu. Dopiero w miarę, jak się psują we wnętrzu swojem, wykluwają się wśród nich talenta, tak jak gdyby należało nimi zastępować znikające cnoty, i jak gdyby przez nie zmuszeni byli nawet źli do jakiejś użyteczności dla społeczeństwa, wbrew ich własnej woli.

„Wiele zakładów, poświęconych rozwojowi sztuki, przynosi sztuce szkodę.

„Prawdziwa zasługa ginie w tłumie; odznaczenia są dla najzręczniejszych, i dla tych, którzy posiadają najwyższy stopień ducha intrygi."

(Wyjęte z pracy o J. J. Rousseau p. Pawła Baunardot, która się ukaże w druku w roku 1900).

Z Francyi.

Pomimo, że Paryż ściąga zawsze do siebie narody całego świata, jak ściągał niegdyś, pomimo, że ta stolica dzierży dotąd niewzruszenie berło dobrego smaku, życiowego wykwintu i zabawy we wszelkim rodzaju, instynktownie ogląda się jakoś dokoła Francuz dzisiejszy i zapytuje coraz częściej, azali pierwszeństwo w cywilizacyi, które on sobie przyznawał przed niedawnym jeszcze czasem, i które przyznawały mu ludy — azali to pierwszeństwo faktyczne i ten urok wywierany niepodzielnie, ma Francya dziś jeszcze w tym stopniu, jak miała przed kilku dziesiątkami lat.

Sama obfitość formułowanych w tym duchu rozpamiętywań, sama ilość ukazujących się ciągle rozpraw, broszur i traktatów roztrząsających teoretycznie to zagadnienie, zdaje się zdradzać niepokój narodu, który na podstawie pewnych objawów wewnętrznych, i dzięki echom dochodzącym doń z zewnątrz, zdaje się mimowoli odczuwać, że to pierwszeństwo, jeśli mu się dotąd wyraźnie nie wymyka, to przecież kwestyonowanem jest coraz bardziej. Zachwiała się wiara w potęgę własną, zubożał duch, który się czuł przodowniczym, i oto teraz rozgląda się, bada sam siebie, i pyta, dokąd zawiodły prądy, które go unoszą od pewnego czasu.

„Où en sommes nous?" — oto pytanie, które stawia się w naczelnych kolumnach dzienników poważniejszych — oto kwestya traktowana w rozprawach Izb, w roztrząsaniach akademickich, i budząca żywe zajęcie w sferach kierujących oświatą.

Inspektor Akademii francuzkiej, Aleksander Martin, w pracy swojej, której dał tytuł: „Nasze dzieci," dotyka tej sprawy również, a i u niego mimo otuchy w słowach, dźwięczy ton zwątpienia — jeśli nie gorzej jeszcze: „I ja pytam nieraz siebie, mówi on, czy to pierwszeństwo w sprawach porządku politycznego, wojskowego, intellektualnego, naukowego — czy ono jest przy nas jeszcze, jak było niegdyś, czy przeciwnie są narody w świecie, które ważą od nas więcej w rzeczach idei i siły materyalnej zarówno. Z duszy całej pragnąłbym, abyśmy tego prawa nie uronili, a jeśli w istocie faktem, a nie uprzedzeniem jest pewne obniżenie się potęgi ducha francuzkiego, aby ten duch ożywił się i spotężniał w piersiach naszych dzieci. Ale i tego nie taję przed sobą, że czeka na to dziecko nasze na tej drodze walka o starszeństwo w rodzinie ludów cywilizowanych, i że walka ta przedstawia się w przyszłości jako trudna i zacięta."

W istocie dziwić się nie można Francuzom, że im przychodzą do głowy myśli podobne. Fakt stałego zmniejszania się ludności Francyi, obniżenie moralności publicznej i prywatnej ztwierdzane coraz nowym jakimś wielkim skandalem, wzrost przestępstw wśród nieletnich nawet, chęć użycia we wszystkich stanach, przy wstręcie zupełnym do pracy natężonej, oto objawy codzienne, których znaczenia w życiu narodu zaprzeczyć trudno. Widzi ostatecznie Francuz, że jest żadnym osadnikiem w swoich koloniach, że rolnik jego kraju myśli tylko o tem, jakby uwolnił dzieci swoje z jarzma pracy ciężkiej, że w każdej sferze społecznej człowiek oblicza tylko godziny swego zajęcia obowiązkowego, i rozmyśla o ich zmniejszeniu do minimum, że w stosunku odwrotnym do chęci pracy, wzmagają się pożądania na każdem polu, że zanika jednocześnie energia twórcza w właściwem znaczeniu tego słowa. Lud, szczególnie lud i jego warstwy młodsze dają temu autorowi wiele do myślenia. Widzi, że wychowanie francuzkie całe zmierza do tego, aby uprzywilejować pracę mózgu kosztem rozwoju ciała, że ten naród zużywa więcej swoje nerwy, niż muskuły, że rozwija inteligencye z pominięciem charakterów.

Zagadkowo przedstawia się francuzkiemu akademikowi przyszłość jego kraju. Notuje pojedyncze objawy, ale sobie z nich syntezy nie umie złożyć, a tem mniej obrazu przyszłej Francyi przedstawić. Ciągły rozrost ducha demokratycznego, wzmagająca się przewaga liczby, szerokie uczestnictwo ludu w oświacie, coraz większe pustoszenie siół wraz z gromadzeniem się proletaryatu w centrach przemysłu, zanik poczucia religijnego w massach, prawie że doszczętny, oto wszystko czynniki, które niewątpliwie w blizkiej już przyszłości wytworzą we Francyi jakiś nowy, niebywały i nie dający się przewidzieć porządek rzeczy. Jakim będzie ów świat, który wyjdzie z tego przełomu — nie wie nikt, to pewna, że będzie on całkiem różny od tego, w którym żyjemy dzisiaj. Tak utrzymuje Aleksander Martin w swojej pracy.

Zapewne, że to będzie coś nowego i nieznanego; zrozumieć przytem musi każdy, że mnóstwo spraw w tem dziele przeobrażenia społeczności, spełniać się musi żywiołowo — niezależnie już dzisiaj od woli i kierunku, jakiby przyjąć chciały jednostki, choćby też najwybitniejsze. Godnem jest jednakże uwagi, że w takich przynajmniej działach programu publicznego, których ster spoczywa w ręku mężów nauki, więcej mogłoby być konsekwencyi i liczenia się z rzeczywistością, a mniej folgi dla doktryny i kaprysów chwili. Zważmy sami. Członek ciała naukowego taki, jak Martin i jak wielu bardzo innych między symptomatami bogatymi w następstwa — nb. symptomatami, które uważa za ujemne, zalicza, jakeśmy widzieli, zanik w massach poczucia religijnego. Zdawałoby się, że wniosek jedyny, jakiby się ztąd nastręczał, wskazywałby zwalczanie przez sfery pedagogiczne w wychowaniu tego ducha świeckości, który najwyraźniej wcale nieszczególnie przysłużył się Francyi dzisiejszej. Tymczasem ten duch wieje ciągle jeden i ten sam, a program wychowania ani myśleć nie pozwala nawet o zmianach w systemie; owszem stoi upornie wychowanie młodzieży i wychowanie sfer ludowych ciągle na jednym i tym samym punkcie, tylko wydaje się, jak gdyby myślano pod tę rysującą się coraz bardziej budowę, podmurowywać coraz nowe podpory i skarpy.

Oto świeżo właśnie w Wolnem Kollegium Nauk Społecznych, rozpoczyna grono uczonych francuzkich wykłady „Kursu moralności." Skład tego grona, to sami profesorowie uniwersytetu. Oni to właśnie widząc chwiejność pojęć o słuszności i ladajaką etykę, jaką się posiłkuje w życiu społeczność francuzka, postanowili podeprzeć ten gmach grożący wywrotem, i w tym celu otwierają te wykłady swoje. Wymieńmy przynajmniej materye, które mają być omawiane: Sprawiedliwość i wolność—Sprawiedliwość i prawo wyboru—Jedność moralna—Nauka i moralność—Obecne obowiązki młodzieży — Moralność grecka i moralność współczesna — Klasyfikacya idei moralnych w naszej epoce — Rzut oka na cały obszar moralności — Teorya i praktyka — Sprawiedliwość i miłosierdzie—Życie indywidualne i życie społeczne — Sprawiedliwość i prawo—Idea prawa—Etyka w socyalizmie.

Sprawozdawca, którym jest sekretarz generalny tego wolnego kollegium, nie tai przed sobą ekscentryczności pomysłu samego, widzi, że takich luźnych i żadną wspólnością nie związanych między sobą kilkanaście katedr, nie może rzucić narodowi żadnych niewzruszonych wskazań moralnych, pojmuje i to nawet, że wogóle korzyści z nauczania moralności słowem, są nader problematyczne, ale przy tem wszystkiem pociesza go myśl, że zaszkodzić te prelekcye w żadnym razie nie powinny.

Zapewne, że nie zaszkodzą one, ale chyba nie dla tego podejmują ci panowie cały olbrzymi zachód, aby stworzyć jakiś środek, którego przeznaczeniem ma być uzdrawianie, a którego stroną najdodatniejszą ma być jego nieszkodliwość.

„Niechaj to będzie próbą, powiadają inicyatorowie. Być może, że próba nie da rezultatów, ale szkód sprowadzić nie powinna. W każdym razie *w narodzie, w którym sumienia w chwili danej nie mają jako przewodnika moralności powszechnie uznanej, godziwem jest poszukiwanie takich prawideł, któreby się dały zastosować do nowych warunków bytu i nowych stosunków społecznych.*

Nie mówiąc już o tem, czy logicznem być może, stawiając sobie samym podobne świadectwo

zubożenia, rozmyślać ciągle o tem pierwszeństwie w cywilizacyi, ciekawą rzeczą jest przedewszystkiem, dlaczego sumienia pozbyły się przewodnika, którego użyteczność stwierdziło dziewiętnaście wieków, i dlaczego człowiek dzisiejszy ma uporczywie zamykać oczy na tę prawdę niezbitą, że to nie stara moralność Chrześcijańska przeżyła się i zużyła, ale że człowiek, który nią wzgardził, zdradzać zaczyna coraz bardziej instynkta antyspołeczne, groźne dla ogólnego dobra.

Szukają nowych prawd i nowych dróg, szukają nowej definicyi dla nowej moralności, chwytają każdą marę, i pierwsze lepsze złudzenie, byle nie przyznać, że Chrystyanizm był wielkim uzdrowicielem duszy ludzkiej, że jest dziś, jak był przed wiekami, niespożytym w zasadzie swojej, że doskonalszego odeń hamulca na ujemne skłonności ludzkie nikt nie wynalazł dotąd, że jednem słowem, gdybyśmy stworzyć zdołali społeczność idealną, to jest taką, któraby w zasadach i czynach szła w myśl nauki Chrystusowej, z pewnością nie potrzebowalibyśmy się dla niej kłopotać o nowe formy bytu, ani tworzyć katedr moralności, robiących jedynie wrażenie gorzkiego szyderstwa. Co zaś do tych ostatnich, jedno tylko przewidywać wolno, to jest, że jeśli ztamtąd padnie w przyszłości słowo jakie doniosłe, z pewnością największą zapożyczonem się ono okaże z tej wielkiej krynicy prawd nieśmiertelnych, od których odwracać oczy wyrodniejącej ludzkości, stało się głównem zadaniem dzisiejszych lekarzy społecznych.

A. S.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

II.

El Christo de la luz.

Legenda Toledańska.

W jednej z najstarszych synagog w Toledo, tej, która później na kościół chrześcijański zamienioną została, i jeszcze dziś Santa Maria la Blanca się nazywa, zgromadzili się pewnego razu na wiosnę, w głębokiem średniowieczu, żydzi. obchodzący swe święta wielkanocne. We wszystkich pięciu nawach świątyni, u każdej z potężnych, ośmiokątnych kolumn, zdobnych bizantyjskimi kapitelami, stał ogromny siedmioramienny kandelabr mosiężny, niosący mnóstwo zapalonych świec woskowych. Żółte światło ich połyskiwało uroczyście, a lekki dym unosił się w górę ku pięknym łukom i fryzom w judzkim stylu, łączącym styl arabski z symboliczną powagą starego zakonu. Drzwi synagogi były otwarte, nie było trzeba obawiać się zakłócenia nabożeństwa, bo naokół świętej budowy kwitł wielki ogród, pełny drzew mirtowych i cedrów, otoczony wysokim murem, oddzielającym świątynię i ten gaj wonny od miejskiego sąsiedztwa.

Powietrze wieczorne przesycone było złotem zachodu i wonią fiołków, lekki szum drzew wtórzył cichym modłów szmerom, płynącym ze świątyni, a jasne na kamiennych płytach pluski wody, czerpanej z dwóch głębokich studzien, w których wierni obrzędowych oczyszczeń dokonywali, mięszały srebrne swe dźwięki z przeciągłem mruczeniem ludzkich głosów, zlanem w jedno z drzew szelestami.

Wsparty o wielki cedr, w którego ciemnozielonej koronie, całej słonecznymi przesiąkłej promieniami, ptaki uganiały się i świegotały, stał Abisain, mąż młody, śniady, piękny. Był to jeden z najbogatszych i najbardziej poważanych w całej gminie toledańskiej, żydów, a słynął z uczciwości i zapału dla wiary, zwyczajów i nadziei swego starożytnego ludu. Abisain patrzył teraz w górę, na drzewo, ale nie widział ani ptaków, ani złotych w słońcu gałęzi, oczy jego w marzącej ekstazie szukały wysoko nad drzewami, nad obłokami, daleko w głębiach lazurów, czarodziejskich wizyi jakiegoś idealnego Syonu, jakiejś przez proroków głoszonej Jeruzalem, w dyamentowej aureoli spełnionych Bożych ślubów: bramy miasta były rozwarte na ścieżaj, na ulicach dżdżyły ulewy kwiecia, brzmiało hosannah, bo oto król syoński, misch, pomazaniec Pański, wjazd swój święcił! Lud izraelski był wykupiony, korona jaśniała na jego skroni, zasiadł na tronie, przygotowanym dlań od wieków, ślubowanym mu wtedy już, gdy nawet nie był narodem, gdy koczował jeszcze jako wielka rodzina wolnej puszczy, w dobie pierwszych rozświtów ludzkości! Lud izraelski zasiadał tron w świętym Syonie i trzymał berło w ręku, a narodowie świata przychodzili pokłony mu oddawać.

Abisainowi zwilgły ze szczęścia oczy. Nagle ktoś pociągnął go za rękaw jedwabnego kaftana. Był to stary już mąż.

— Bądź pozdrowion, Meribalu! — rzekł Abisain, jakby ze snu się budząc.

— Jak długo stoisz tu już bez ruchu? — rzekł Meribal. — Modły się skończyły, patrz, wszystko tłoczy się z synagogi! Pójdź! Jeśli nie jesteś gościem gdzieindziej, zawitaj do domu mego!

Abisain złożył ręce na krzyż, na piersiach, uśmiechnął się i dotykając potem dłonią czoła, pokłonił się przyjaźnie starcowi.

— Niema strzechy w Toledo—rzekł — pod którąbym tak chętnie wszedł, jak pod twoją.

Obaj mężowie wzięli się poufale pod ręce i wyszli z ogrodu, który przez otwartą teraz bramę, wonie swe mrocznym, wązkim, wyboistym ulicom posyłał. Ciemne postacie żydów w długich kaftanach i białe zjawiska ich żon i córek, pootulanych w jasne zasłony, wiły się z synagogi, jak wielkie stado ptaków, ciemnych i jasnych, i rozpierzchały się po mieście.

Abisain i Meribal nie szli zbyt daleko. Udali się w kierunku murów miejskich, z poza których dochodził szum Tagu, skręcili w wązką, nawet we dnie prawie ciemną, ulicę, zabudowaną wysokimi, posępnymi domami, prawie bez okien. Zatrzymali się przed dębową bramą jednego z nich, nabijaną regularnie gwoździami, o wielkich, cyzelowanych główkach, pięknej, czysto arabskiej roboty. Meribal zakołatał młotkiem i wrota wnet się otworzyły. Weszli.

Meribal był jednym z najbogatszych kupców miasta i zamieszkiwał prawdziwy pałac. Wprowadził teraz gościa swojego do sali, której ściany z kamienia ciosowego, ozdobione mistrzowską pracą artystów arabskich, budziły zachwyt smakiem wdzięcznie rzuconych arabesek i olśniewały złotem, srebrem i barwami, które je pokrywały. Strop z drzewa cedrów libańskich, wyglądał jak ciemna korona, tak bogata i tak niesłychanie delikatna była jego rzeźba. Przez wązkie, wysokie okno otwierał się widok na pociemniałą już między wysokimi brzegami rzekę i na zieloną, świeżą, kwitnącą vegę toledańską, nad którą gasło powoli żółte niebo, usiane już tu i owdzie srebrnemi iskrami pierwszych zjawiających się gwiazd.

Salę oświetlała wielka wisząca lampa mosiężna, której trzynaście płomieni rozlewało jasność słodką, jak poświta miesięczna, i woń lubą, jak zapach balsamu. Pod lampą stał ciężki stół dębowy bez zbytku ale bogato zastawiony. Abisain nie był jedynym gościem, sala rozbrzmiewała już gwarem wielu zaproszonych.

Zgromadzeni zasiedli wnet do wieczerzy. Meribal łamał chleb przaśny, nalewał wino i odmawiał modlitwę. Po spożyciu pokarmów, błogosławił gościom. Wzniesiono w górę srebrne puchary, i Meribal rzekł drżącym głosem:

— Dziś jesteśmy tu, wygnańcy na obcej ziemi, za rok może w Jeruzalem będziemy.

Po tych słowach nastała głęboka cisza, i oczy wszystkich przesłoniły się jakiemś nabożnem rozmarzeniem. Nagle rozsunęła się, jakby czarem, ciężka, zielona opona w końcu sali, wyszywana w srebrne, rozkrajane jabłka granatu, pełne różanych jąder, i fala białego światła polała się w stosunkowy mrok komnaty godowej. Wszyscy zwrócili się tam ze zdumieniem, a widok, który im się przedstawił, oczarował ich po prostu. Dwadzieścia biało odzianych dziewcząt siedziało w półkole pod lampami ze srebra, oraz szkieł szafirowych i rubinowych, wiszącemi na dłuższych i krótszych łańcuszkach, i tworzącemi w ten sposób różnorodne ugrupowania, podobne jaśniejącym na niebie konstellacyom. Dziewczyny, wszystkie piękne, odziane były w jednakie szaty, a czarne, wolno spływające, woniami napuszczone ich włosy, były przeplecione mirtami i fiołkami. Siedziały na nizkich stołkach, a każda trzymała pozłocistą harfę. Pośród nich siedziała córka Meribalowa, Rispa. Piękna jak biała róża, miała oczy ciemne, księżycowego blasku, włosy jej wszakże jaśniały jak roztopione złoto. Pośród tych ciemnowłosych dziew, zdawała się, jakby oblana słońcem. Uderzyła w struny, a pozostałe dziewczęta poszły za jej przykładem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Zmarli.

W dniu 3 Lutego roku bieżącego zakończył żywot w Krakowie znany ogólnie i powszechnie ceniony artysta-malarz Juliusz Kossak. Urodzony 15 Grudnia 1824 roku w Wiśniczu, wykształcenie wyższe i niższe pobierał we Lwowie. Talent obudził się w Kossaku wcześnie, a że obrał sobie rodzaj i kierunek najbardziej przypadający do ducha społeczności, wśród której i dla której pracował, ztąd jego wziętość, a nawet wyższa od wielu współczesnych popularność. Sztukę studyował w Wiedniu i Paryżu, ale pierwiastku swojskiego nie zatarły w nim szkoły obce—owszem był temwięcej swojskim, im głębiej wnikał w ducha poezyi tych mistrzów, których był wielce udatnym illustratorem. Specyalnością jego było malarstwo akwarellowe—rodzajem: koń i jego towarzysz bojów—człowiek rycerski. Illustrował Mickiewicza, Sienkiewiczowską trylogię, ale najbardziej sobą jest tam, gdzie idzie za śladem natchnień piewcy Mohorta.

W dniu 10 Lutego zmarł po długich i ciężkich cierpieniach Bolesław Syrewicz, utalentowany artysta-rzeźbiarz, w wieku lat 60.

Dary i zapisy.

Zmarły w bieżącym miesiącu znany fabrykant i przemysłowiec ś. p. Konstanty Rudzki, rozporządzeniem swojem testamentowem przeznaczył summę rs. 30,000, aby odsetki od niej obracane były corocznie na stypendya imienia Konstantego i Antoniny małżonków Rudzkich. Porządek rozdawnictwa stypendyów jest taki: korzystać z nich mogą wogóle chłopcy i młodzieńcy od 9 do 25 lat wieku, należący do narodowości polskiej wyznania rzymsko-katolickiego. Młodzież korzystająca z nauk w średnich i wyższych zakładach naukowych, niemniej specyalnych rządowych lub prywatnych, będzie mogła ubiegać się o 3 stypendya z powyższego funduszu z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla zstępnych po 20 tu w testamencie wymienionych osobach. Stypendysta każdy pobierać będzie swój fundusz przez cały czas nauki i przez rok po jej ukończeniu, a to celem ułatwienia mu pierwszych kroków w zdobyciu pracy. Zarząd funduszem stypendyalnym powierzył ś. p. Rudzki prezesowi Warszawskiej Dyrekcyi Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, głównemu dyrektorowi lub prezesowi Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy i starszemu z wyborów zgromadzenia kupców warszawskich, a w razie zniesienia którego z tych urzędów prezesowi warszawskiego Towarz. Dobroczynności. Na wypadek, gdyby z jakichkolwiek powodów fundusz stypendyalny nie mógł istnieć, przeznacza go testator na rzecz zakładu dobroczynnego dla rzemieślników miasta Warszawy. Zapis powyższy obciąża dożywocie żony ś. p. testatora. Niezależnie od powyższego przeznacza testament 5,000 rs. na rzecz kasy Mianowskiego, a to z przeznaczeniem odsetek od nich na nagrody za napisanie najlepszych dzieł z zakresu wiedzy technicznej lub historycznej.

Na rzecz sanatoryum dla suchotników złożył obywatel z Litwy, zamieszkały w Warszawie, na ręce dr. Teodora Dunina rs. 3,000 — inny ofiarodawca bezimienny na tenże cel rs. 100 — p. Władysław Muttermilch rs. 1,000.

Czytelnie bezpłatne.

„Kuryer Warszawski” takie pomieszcza sprawozdanie ze stanu czytelni bezpłatnych warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności: Wpływów za rok 1897 było 9,000 rs., wydatki wynosiły bez mała taką samą kwotę, a w ich liczbie figuruje pozycya 4,100 rs. wyrozchodowanych na zakup książek nowych — oprawa nowych lub zniszczonych dzieł kosztowała 2,600 rs. Czytelnie ogółem mają inwentarzem objętych tomów 50,000, mimo to żądań zgłaszających się nie można było w znacznej mierze zaspokoić, i takich w przybliżeniu obliczają na 30,000 wypadków. Czytelnie okazują się więc bardzo niewystarczające, ostatnie bowiem lata zaznaczają zwiększenie się czytających w dwójnasób. Przecięciowo każda książka czytelni obiega dziesięć razy do roku, wszystkie więc dzieła 23 księgozbiorów warszawskich były w roku zaprzeszłym w obiegu 500,000 razy. Najpoczytniejszą jest belletrystyka i książki dziecinne. Potem idzie pod względem poczytności poezya, a następnie w tym porządku: historyczne—podróże—przyroda i wogóle utwory popularno-naukowe. Dział tak zwanej literatury ludowej, jak się pokazuje, nieodpowiada przeciętnemu rozwojowi umysłowemu mieszkańców Warszawy, albowiem prace w tym rodzaju są w czytelniach mało bardzo poszukiwane. Dzieł Mickiewicza było w r. 1897 w 23 czytelniach tomów 485, które obiegły 4,211 razy. W roku 1898, jako jubileuszowym ruch ten wzmógł się znacznie. Sienkiewicza pisma obiegają do roku kilkanaście tysięcy razy.

W sprawie kwesty wielkopostnej.

Zeszłoroczna kwesta po domach, dokonana w roku zeszłym za pośrednictwem delegowanych Towarzystwa Dobroczynności, dała, rzec można, rezultaty zupełnie niezadawalniające. W odezwie swojej, wystosowanej do redakcyj, ze wszelką słusznością skarży się Zarząd na minimalność darów, a nawet na częste wypadki zupełnego uchylania się od tego, jakby się zdawało, najprostszego i nie tak znowu uciążliwego, obowiązku chrześcijańskiego miłosierdzia. Przytoczone w odezwie zarządu cyfry, aż nadto smutnie przekonywają nas o słuszności jego zarzutów. Uderza nas zarówno całość zebranej sumy i pojedyncze szczegóły sprawozdania. Dość powiedzieć, że prowadzona gorliwie kwesta przez ciąg miesiąca całego zdołała zgromadzić tylko kwotę 7,949 rs. kop. 15, co jak na ludność 400,000 z górą wynoszącą, jest sumką wcale nieznaczącą. Postawiliśmy cyfrę ludności naszej tylko 400,000, ze względu, że 250 mniej więcej tysięcy, obcokrajowców i innowierców wypuszczamy z rachunku, z uwagi, iż ostatnio wymienionych do czynnego przychodzenia w pomoc ludności obcej narodowością i wyznaniem, bynajmniej za obowiązanych nie uważamy, choćby dlatego, że mają oni swoich ubogich, o których także pamiętać muszą.

Biorąc przeciętnie, złożyłby tym sposobem przeciętny mieszkaniec Warszawy 2 kopiejki na nędzę, ale ponieważ do dzielnic ubogich nie sięgano, ponieważ nadto wyłączono suteryny, poddasza i lokale jednoizbowe, więc wypadnie nam zrobić przybliżony rachunek drugi. Odliczmyż na tych niezamożnych, na tych pominiętych całą połowę naszej ludności polskiej i katolickiej, odliczmy całą połowę tej cyfry czterokroćstotysięcznej, a wypadnie nam, że niespełna 8,000 rs. złożyło dwakroć stotysięcy ludzi, ale w takim już razie—ludzi średniej zamożności. To przyznać należy przedstawia się o bardzo wiele gorzej, albo szczerze powiedziawszy, to wygląda zupełnie niepocieszająco. W takim wypadku przeciętny średnich funduszów człowiek ofiarował swoim najbiedniejszym przez ręce instytucyi cieszącej się ogólnem zaufaniem, 4 kopiejki tylko.

To jest za mało, bezwzględnie biorąc. Gdyby tak poszły kwesty następne, jak zeszłoroczna, musielibyśmy uwierzyć w to, co słyszymy od bardzo dawna, mianowicie, że dobroczynność warszawską zasila kilkaset rąk zawsze jednych i tych samych, a to byłoby wieką ujmą dla całego stanu średniego naszego.

Odczyty popularne.

W celu zapoznania rzeźników, piekarzy, cukierników, restauratorów i t. p. z głównemi zasadami hygieny, postanowiło warszawskie Towarzystwo hygieniczne urządzić szereg odczytow popularnych, zastosowanych do pojęć i potrzeb tych sfer.

Wskazówki i rady.

Mak z arakiem.

Chociaż spóźnione, podaję nowy sposób makowego podania, bo i na Nowy Rok i na Trzech Króli ta potrawa jest w użyciu. Funt maku oparzyć, po dwóch godzinach odlać wodę i drugi raz oparzyć, zostawiając tak mak na dwie godziny. Następnie odlać wodę, cedząc przez gęste sito, utłuc ćwierć funta obranych słodkich migdałów, między niemi 3 gorzkie, włożyć w mak, wsypać pół funta dobrej wagi mączki krystalicznej i wiercić dolewając po łyżeczce półkwaterek czyli małą szklaneczkę araku (arak sztuczny domowy, patrz „Jedyne praktyczne przepisy” autorki „355 obiadów” wydanie 17). Po godzinie wiercenia starannego mak będzie uwiercony, ułożyć go na salaterkę i powkładać kruche placuszki, zwane łamańcami.

Na łamaniec zagnieść pół kwarty czyli trzy ćwierci funta mąki, 12 łutów młodego masła, ćwierć funta cukru, jedno jajko i łyżeczkę małą śmietany, wygnieść dobrze i rozwałkować jak najcieniej na stolnicy podsypanej mąką. Wykrawać z tego ciasta blaszaną foremką lub szklanką, maczając ją w mące, placuszki, które bez smarowania upiec na rennience w niezbyt gorącym piecu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla prenum. zamiejscowych Prospekt „Samouczek“ Reussnera.

Дозволено Цензурою Варшава, 9 Февраля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Dziewczyna, jak spłoszona sarna, chwiała się na drobnych nóżkach, drżała gibką kibicią, iskrzyła wylękłem okiem; raz blada, to znów różowa ze wzruszenia, widno było po falach łona, że sercu rady dać nie mogła. Przed tym człowiekiem byłaby chętnie skryła się pod ziemię, uciekła na koniec świata, ale tego człowieka on jej przywiódł i przedstawił jak przyjaciela. Nastusia odgadła, że należało przyjąć go z wesołą twarzą.

Gość wreszcie nietrudnym był do zabawienia; sam widok pięknej mieszkanki ustronia, był mu najmilszem przyjęciem. Dotąd wiedział tylko o istnieniu Nastusi, nie domyślał się jej wdzięków. Rzeczywistość prześcigła w nim wszelkie oczekiwania.

Juliusz uchodził w całej Galicyi za jednego z pierwszych znawców na koniach i na kobietach. Niektórzy utrzymywali, że lepiej znał się na koniach, on sam jednak głęboko był przekonanym, że hippiczne jego wiadomości ustępowały bystremu oku co do płci pięknej.

Zachowywał się więc niby obojętnie; ukradkiem atoli bacznie oglądał polotną kibić dziewczyny, przypatrywał się harmonijnym składom jej ciała, podziwiał rozgrzywione, płowe włosy, słodycz błękitnego oka, okrągłość ramion, łabędzie ruchy szyi, wytworny kształt głowy, ręce i nóżki dziecinne. Wady ani w niej dopatrzeć!... Oczywiście, Nastusia miała w sobie krew rzadkich przymiotów, była stworzeniem nieposzlakowanej rasy, czyli— według malowniczego wyrażenia młodego badacza — folblutem.

Prawdziwy znawca a więc i namiętny lubownik, Juliusz okiem rybitwa pozierał na dziewczynę; wzrokiem i myśl w nią zatapiał, myśl zamiarów, których skry pierwsze czuł, że mu biły do mózgu, i że wkrótce w nieugaszony pożar rozpłoną.

Wyszedłszy, Wilczek uczepił nawiasem rzecz o wdziękach Nastusi; usprawiedliwiał jej pomięszanie przywykiem do dzikiego samotnego życia, uniewinniał się z przywiązania ku niej, dziwną dobrocią jej serca.

Juliusz potakiwał, wszelako dość obojętnie, z przyjemnością jednak przyjął myśl powrotu do domku, choćby dla tego, aby jak mówił, napatrzeć się szczególnemu zjawisku wieśniaczki okrzesanej nad wszelkie pojęcie.

Wilczek mu zaręczył, że za drugiemi odwiedzinami, Nastusia oswoi się, udobrucha i pokaże w całym wdzięku lubej swej prostoty.

Juliusz z zimnym uśmiechem wysłuchał zaręczeń.

Minęło dni kilka; gospodarz i gość codzień chodzili do domku. Nastusia nie mogła przywyknąć do dziwnego przychodnia, choć jej sypał grzeczności, choć zgadywał jej upodobania, z kwiatami pieścił się i rozpowiadał zabawne historye. Skoro czasami folgę dawała niepojętym a przykrym uczuciom, jedno spojrzenie Juliusza mroziło jej uśmiech na ustach, ucinało w pół zaczęte słowo, trwogę miotało do duszy. Byłaby chciała na niego niepatrzeć, ale ile razy się zjawiał, mimowolną, tajemną siłą pędzona, wzroku od niego nie zdołała odczepić; cała drżąca pod przenikliwemi oczyma przychodnia, martwiała ze strachu jak ptak oczarowany spojrzeniem węża.

Juliusz rozżarzał w sobie powziętą myśl, zacierał ręce, układał zamiary. Biegły ludzkiego serca czytelnik i na pamięć znający Wilczka, wiedział, że można było go posądzić o wszystko prędzej, niż o wytrwałość. Tłum wreszcie innych, daleko ważniejszych względów, utwierdzał w nim nadzieje. Wilczek gonił ostatkiem.

Juliusz wracał właśnie ze Lwowa, gdzie zapisując swą należytość na hypotece przyjaciela, miał sposobność wglądu w rachunek jego sumienia. Do wyraźnych ciężarów, których znalazł co niemiara, dodawszy koszta ostatniego w mieście pobytu, wypadek, przy najpomyślniejszym obrocie rzeczy, zaokrąglał się w zero czystego mienia.

Klęska majątkowa Wilczka koniecznie musiała pociągnąć rozbrat z Nastusią. Gdyby nawet młody zapaleniec prawdziwie kochał wieśniaczkę, niema wątpienia, że wyzuty z dostatków, rozszalały rozpaczą, nie byłby chciał porwać ją z sobą w burzliwe życia koleje, jakie czekały go na przysionku nędzy. Jeżeli zaś — co zdawało się niezawodnem — przelotną tylko ku niej miał skłonność, pierwszy lepszy pozór mógł wystarczyć na przyczynę rozłączenia. Kto wie nadto, czyli zgłębiwszy zionącą mu pod nogami otchłań, dla jednego promienia ratunku, sam nie byłby poświęcił kochanki?

Wilczek przy szczerej chęci mógł na kilka tygodni zamknąć się na wsi; ostatecznie atoli, gwałtowna jego natura wymagała miejskiej wrzawy, zgiełkliwych uciech, hałaśnych towarzystw, mianowicie zaś przewodzenia młodzieży wykwintem, świetnością i tonem.

Nawzajem dziewczyna przyzwyczajona do zbytku, nad powrót pod słomianą strzechę, przeniosłaby podzielenie z kim innym dostatków. Juliusz utrzymywał i wierzył, że próżność i zbytek były na cały ród Ewy cudownym lepem.

W takowym obrocie wypadków, nowym dobroczyńcą Nastusi mógł zostać on, nowy ulubieniec fortuny. Pieniędzy miał poddostatkiem, a na popędach namiętnych szałów ku dziewczynie także mu nie zbywało.

Zamiar ten, jakkolwiek w założeniu logiczny, jakkolwiek przedstawiał silne prawdopodobieństwo powodzenia, wymagał atoli długiego czasu, długiej cierpliwości. Upadek Wilczka mógł się przewlec; nie jeden panek w podobnem mu położeniu, wiódł mnogie lata pomyślności. Z innych wreszcie względów, zguba przyjaciela była mu więcej szkodliwą niż użyteczną. Wilczek na mocy rodzinnych stosunków ze znakomitymi domy, forytował go w wielkim świecie, chętnie użyczał własnego blasku, woził z sobą po Galicyi, wprowadzał nawet w pierwsze wiedeńskie towarzystwa. Juliusz bez przewodnika tracił większą część dogodności życia, że zaś najmniejszej wygody nabytej tracić nie wypadało, umyślił przeto tak nastawić samotrzask, aby za jednym pociągiem i Nastusia weń wpadła, i przyjaciel z rąk mu nie uciekł, przyjaciel w całem znaczeniu tego wyrazu, nie zbankrutowany, ale świetniejszy niż kiedykolwiek.

Wilczek sam powinien był uczepić się myśli zerwania stosunków z Nastusią.

O porwaniu go w war hucznych zabaw nie było co myśleć. Ostatni pobyt we Lwowie, widno, gorzkie zostawił mu wspomnienia, słuchać o nim nie chciał, skręcał umyślnie rozmowę. Juliusz też, bynajmniej nie upierał się w wytaczaniu na plac sprawy zajścia z Porajem, pokrył ją nieprzebitem milczeniem, i przestawał na innych przedmiotach, w których Wilczek z całem zaufaniem odsłaniał przed nim głąb myśli; wdzięczen za przyjazd zwierzał się z uczuć, odkrywał zamiary na przyszłość, opowiadał szczegóły pożycia z Nastusią, jak gdyby wcale był dotąd nie zauważył dziwnych względem niej towarzysza zachodów.

Nie brakło mu przecie w podobnych rzeczach na doświadczeniu; zręczniejszą grę byłby odgadł z łatwością, tym atoli razem, bądź że w istocie nic nie spostrzegał, bądź że nie chciał spostrzegać, często udawał gospodarskie zatrudnienia, i przyjaciela samego słał w odwiedziny do małego domku.

Bóg raczył go wiedzieć, jakie zamiary hodował w głębinach myśli. Zapewne tym sposobem chciał jedno z dwojga wystawić na próbę, okazać gościowi pierwszy, a główny warunek przyjaźni: zaufanie bez granic — a może też pragnął dowieść pośrednio zalotnikowi bezskuteczności jego zalotów.

Po sercu ludzkiem, mianowicie po takiem, jakie było serce pana domu, wszystkiego można było się spodziewać.

Człowiek ten posiadał szczególną łatwość przewrotów charakteru i usposobień; od pewnego czasu zwłaszcza, wpadał w niezwykłe zadumy, widocznie tracił wesołość, chmurzył w niepokój oblicze, przymuszał się do swobody. Przymus mu był nie do twarzy — rysami kłamać nie umiał.

Juliusz uważał, że podobne rozstroje napadały go peryodycznie, po coraz częstszych od kilku dni rozmowach ze starym rządcą. Snadź wierny sługa za każdem posiedzeniem wyjaśniał mu nową a bolesną stronę prawdy.

Juliusz postanowił zgłębić tajemnicę.

Pewnego wieczora, gdy obaj znaleźli się sami, a Wilczek z zaciśniętemi usty, z założonemi ramiony przechadzał się szybkim kro-

kiem, Pylades jego, zmęczony ciszą, odmierzaną stopami gospodarza, powstał i donośnym głosem krzyknął na służbę.

— Janku — rzekł do wchodzącego — powiedz piwnicznemu, że pan hrabia każe nam tu dostawić parę butelek starego węgierskiego wina, tylko co najstarszego, rozumiesz?... biegaj!...

Chłopiec zniknął; Wilczek na te słowa ocknął się z zamyśleń, spojrzał zdziwionym wzrokiem na wydawcę rozkazu.

— Dziwi cię moja myśl?... — mówił Juliusz zamaszystym nieco tonem—cóż mamy lepszego do roboty; na frasunek znasz jedyne lekarstwo? Do klasztornego milczenia żaden z nas nieprzyzwyczajony; wino rozwiązuje języki — ja sam nieswój dziś jestem, potrzebuję wzmocnienia, trochę balsamu wesela. Na honor Władziu, albo przemówisz, albo powiesz, zkąd ten kamedulski obyczaj? Od kilku dni cię nie poznaję. Do gorącego piekła! — przedemną nie potrzebujesz przecie nic taić!

Butelki okryte szanowną pleśnią, stały już na stole.

— Słusznie mówisz Juliuszu — odparł Wilczek — ale jeszcze mniej potrzebuję nudzić cię nieznośnymi szczegółami, jakiemi od pewnego czasu ludzie moi suszą mi głowę. Stary Bednarzewski, pod pozorem że mnie kołysał niegdyś na kolanach, chwili odpoczynku mi nie daje. Usypiał mnie gdy byłem dzieckiem, zgoda! ależ na Boga żywego — dziś mógłby oszczędzić sobie trudu; zasnąć i bez niego potrafię.

— Stary Bednarzewski jest człowiek jakich mało; wszyscy ci go zazdroszczą. Jeżeli zrzędzi to nie bez kozery.

— I cóż mi tem pomoże?

— Zapewne, słowa nie pomagają; często jednak więcej szkodzi milczenie. Mieszać się w twoje dzieła, tyle tylko mam praw, ile mi ich udzielają przyjaźń moja ku tobie i zaufanie, jakie we mnie pokładasz. Choćbyś się więc na mnie rozgniewał, powiem ci szczerze mój Władziu, że czas abyś o sobie pomyślił. Prawdy nie ma co owijać w bawełnę; zła to usługa. Rozumiem, że nieprzyzwyczajony do gospodarskich i majątkowych kłopotów, przez wstręt ku szczegółom nie chcesz spoglądać na na ogół. Dla przyjaciół twoich atoli, dla sercem do ciebie przywiązanych, sprawa nie może być obojętną. Przed dwoma tygodniami widziałem hypoteczne twoje księgi. Rządca twój zna je bezwątpienia lepiej odemnie. Powiadasz, że ciebie usypia, ja zaręczam, że on sam zasnąć nie może; bynajmniej nie dziwię się, że zrzędzi.

Wyborny węgrzyn! po myszce widać, że nie za naszych czasów wstawiono go do piwnicy.

— Wiele jest prawdy w tem co mówisz— odpowiedział smutnie Wilczek — nie przeczę i dodam nawet, skoro już raz wpadliśmy na kolej wynurzeń, że dziś rano Bednarzewski przyniósł mi dokładne sprawozdanie o moich interesach. Sprawozdanie niepomyślne, bardziej zatrważające niżelim sądził. Ale co począć, gdzie się obrócić, zkąd czekać zbawienia? Stało się!... los rzucony; skarżyć się nie lubię, płakać nad niepowetowanemi stratami nie umiem. Jeżeli przyjdzie uledz — ulegnę; oczu togą nie zasłonię, zginę jak gladyator, z wzniesionem w górę obliczem. Łaski błagać nie będę, ratunku zaś nie widzę, choćbym nadludzką wolę z siebie wywołał.

— Nie moja w tem wina — odparł Juliusz — ja widzę ratunek, widzę jak najwyraźniej.

— Gdzie?... mów?...

— Chwilę cierpliwości Władziu; postawmy naprzód kwestyę w prawdziwem jej świetle; wypadek znajdzie się na dnie logicznego rozumowania.

Majątek twój byłby aż nadto wystarczającym, gdyby nie upadał pod ciężarem hypotecznych i niehypotecznych długów. Długi zatem są głównym i jedynym wrogiem, którego nam trzeba pokonać.

— Wyobrażasz sobie mój Juliuszu, że rozumujesz? dotąd nic nowego nie powiedziałeś. Oczyść z długów zadłużony majątek, będzie czystym — nieprawdaż?

— Prawda; dla tego też mówię, że przedewszystkiem należy uprzątnąć długi.

— Wiem — przerwał Wilczek zniecierpliwiony — ale jakże je uprzątniesz.

— Jest na to jeden nieochybny sposób.

— Jaki?

— Trzeba je spłacić.

— Żartujesz sobie! czemże ja spłacę?

— Pieniędzmi.

— Zkądże ich wezmę?... Mój Boże! — czy masz kamień filozoficzny na podorędziu? Wiesz lepiej niż ktokolwiek, ile mi gotówki zostało we Lwowie.

— Wiem dobrze, że nie masz pieniędzy; należy ich dostać i to wcale nie sposobem pożyczki; podobny środek zwie się łataniną i do niczego nie prowadzi. Najkrócej jest wystawić jaki kosztowny przedmiot na sprzedaż.

— Ha, ha — na honor, straciłeś rozum! Posądzasz mnie o przechowywanie skarbów Golkondy. Mogę ci przysiądz, że nie posiadam żadnych kosztowności, jeżeli zaś chcesz, abym kilka wiosek uprzedał — odpowiem, że w tej chwili, każda wieś tyle zaledwie warta, ile dźwiga na sobie ciężarów. Rozmyślaj, szukaj, patrz — przekonasz się, że nic nie mam do sprzedania.

— Mylisz się — masz do sprzedania rzecz nader drogą, rzecz, za którą żaden z wierzycieli nie da ci ani grosza, a którą jednak możesz spieniężyć za summę, przenoszącą długi twoje i majątek.

— Zadziwiasz mnie!... cóż takiego?

— Twoje nazwisko.

— Moje nazwisko?... nie rozumiem.

— Do tysiąca szatanów—mój Władziu, zagadka przecież nie trudna. Jesteś młody, masz wziętość u ludzi, rzadkie zalety, powierzchowność, wysokie rodzinne stosunki — to wszystko ozłocone tytułem i jednem z najznakomitszych w kraju nazwiskiem. Powinieneś i musisz bogato się ożenić, a ożenisz się bogato, skoro sam zechcesz. Rzeknij słowo, a pierwsza w Galicyi, w Cesarstwie może dziedziczka padnie ci w objęcia.

Masz dwie drogi do wyboru. Na jednej czeka cię zgryzota, rozpacz, wstyd, nędza, a może — o ile cię znam — i samobójstwo. Na drugiej, spotkasz znaczenie, potęgę, szczęście, rozkosz świetnego życia, ku jakiemu, zdaje się, że los umyślnie cię stworzył.

Wybieraj!

Wilczek oczy wbił w ziemię, stał z założonemi na piersiach rękami, zatrzymywał w sobie oddech, jak gdyby lękał się przerwać subtelny wątek myśli, który snuł się mu po głowie. Juliusza w pokoju już nie było.

— Rozpacz, nędza i samobójstwo — znaczenie, potęga, szczęście... Juliusz w kilku tych wyrazach zwarł mu całą przyszłość.

O własnych siłach niepodobna było się wydźwignąć. Uchwycić jedyny, wskazany środek zbawienia, szukać nadziei w małżeństwie, żenić się — gdzie i z kim?.. sprzedawać... tak jest. Juliusz trafnie rzecz określił — sprzedawać się za garść złota, kłamać uczucie łatwowiernej istocie, która uwierzy fałszywym wyznaniom—i to wszystko dla nędznego widoku wypłaty długów!... i któż śmiał mu podobny zamiar nastręczyć, kto odważył się tak dalece zwątpić o szlachetności jego uczuć?...

A ona co pocznie?... biedna dziewczyna!... czyliż i ją należy zamordować na ołtarzu głupiej próżności?

Nie — nie, chociażby przyszło ugiąć szyję pod ostatnie jarzmo niedostatku i gorzkich upokorzeń!... Raczej zginąć!

Zginąć na duchu i na ciele — przestać żyć, własną ręką grób sobie wykopać, wtedy, gdy serce namiętnie jeszcze biło, gdy siły parły się do życia, gdy war uczuć, upodobań, popędów kipiał i buchał na wsze strony?... Zginąć marnie dla braku kilku worków pieniędzy, dla niezapłaconych nędznych kilku długów — samemu rzucić się na pośmiewisko, zostawić po sobie pamięć wzgardy?... Zginąć — dobrowolnie przeciąć pasmo wiernego dotąd szczęścia, nieustannych uciech, hołdów składanych wyższej — daleko wyższej nad powszednie naturze, w jednej chwili zniweczyć tyle wrodzonych zalet, tyle nabytych przymiotów?...

Ach, świat ten — pomimo niesmaku, jaki często na dnie kielicha rozkoszy osadzał, pomimo wszelkich skarg, żalów, wyrzekań, świat ten rzeczywisty, ozłocony słońcem, wiadomy, krył w sobie jeszcze niewyczerpane skarby wesela!

Oczywiście, Juliusz był człowiekiem praktycznym w całem znaczeniu tego wyrazu; Juliusz doskonale rozumiał, że osamotniony byt na wsi, przeklepany na jednostajne warstwy zawsze tych samych wrażeń, urozmaicony tylko nawałem ciężkich w przyszłości kłopotów, zbezczeszczony ciągłą a gorzką komedyą własnego niby wyboru, w treści zaś upokarzający niewolnictwem, byt taki był piekłem na ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi).